

TRZYNASTKA

MIESIĘCZNIK PAŃSTWOWEGO GIMNAZJUM ŻEŃSKIEGO IM. EMILII PLATER W WARSZAWIE

Polska morska, kolonialna!..

Czy chcecie, aby Polska utraciła morze? Czy chcecie, aby stała się słabym Państwem, pozbawionym floty wojennej — tego sprzymierzeńca, zapewniającego Państwu pokój i dobrobyt?

Czy nie chcecie, aby Polska dostała kolonie, aby odżyła i wzmocniła się w południowym słońcu, świecącym dotąd tylko Anglii, Francji i Italii?..

Nie, — słyszę przecież, jak się oburzacie, że mogłam coś podobnego pomyśleć.

Nie chcecie tego, ale jakże mało czynicie, aby temu zapobiec! Może nie zdajecie sobie sprawy, że na Was ciąży odpowiedzialność za te sprawy. Na Was i na mnie — na młodzieży polskiej. Rząd Polski zajęty odbudową gospodarczą Państwa, zajęty zbrojeniami lądowymi i tysiącem innych spraw ważnych przyczynia się tylko w pewnym stopniu do wzrostu potęgi morskiej Polski. To też tą kwestią powinno się zająć społeczeństwo. Tak, jak zajęło się flotą powietrzną, tak, jak nabrało pędu orłów, rozumiejąc wartość podniebnego lotu — tak teraz w dobie obecnej trzeba, aby ukochało słony wiatr morski, nieustanny wiew wolności..

I to właśnie młodzież polska winna się wczuć w ten nowy nastrój. Starsi dają pieniądze na F.O.M. dokumentując tym swoją przychylność, swoje stanowisko obywatelskie. To robią starsi — to więc musimy robić i my! Abyśmy nie zostawali w tyle. Pomyślcie ileż musimy dogonić, aby dorównać flocie

Niemiec, większej 200 razy i Anglii, większej 300 razy. Ale nie zostaniemy w tyle, o nie, spełnimy i my swój obowiązek.

Lecz my musimy zdziałać więcej — nie jest to wszystkim należeć do L. M. K., płacić miesięczną składkę, kupić raz na rok znaczek na F. O. M. i pozostać biernym. Trzeba nauczyć się kochać morze. My młodzież musimy wytworzyć tradycję marynarskiego ukochania wody. Musimy pływać, żeglować, łaknąć przestrzeni mórz otwartych.

Wszak każdy z was w niedawnej przeszłości, czytając książki Verne'go, czy też Meyne-Ried'a, chciał być koniecznie marynarzem. Dziś nie zapominaście o tym marzeniu. Żyjmy dziecięcym zapałem do sprawy, dziecięcymi pragnieniami!

Gdy młodzież dojrzeje duchowo, gdy skrytalizują się nasze poglądy, zamiary, kto wie, czy prosta radość ze słońca i wody nie będzie nas podtrzymywać w walce o kolonie, lub inne sprawy morskie. Kto wie, czy nie znajdziemy się już wtedy w zdobytych terenach południowych, pierwsi Polacy podróżnicy snów dziecięcych. Bo Polska otrzyma kolonie gdy będziemy tego bardzo chcieć, bo jak powiedział Wyspiański: „Mieć to oni mogą mieć, jeno im się nie chce chcieć“. Dowiedzmy, że młodzież polska „umie chcieć“. Ale trzeba także umieć chcieć i wiedzieć, jak do tego dążyć. Tego Wam życzę w 18 rocznicę odzyskania morza... Z. W.

M o r z e

*Morze, morze błękitne
Ogrózione linią horyzontu
Smukłe fale białą pianą kwitną
Mierzą z lądu dalekość okrętu,*

*Morze, morze ogromne,
Przezroczyście w dni pogodne
Każesz władczo o wszystkim zapomnieć,
Myśli płyną w twoje fale chłodne.
Morze, pustynio daleka,
Gdzie mój smutek kotwicę zarzuci*

*Gdzie po falach ode mnie ucieka
W nieskończoność, z której już nie wróci?
Morze dobrotliwie zmarszczone
Dalikatnie głaszczy mi dłonie,
Serce fal twych pieszczotą wzruszone
W twej bezbrzeżnej dalekości tonię.
Morze, morze ogromne,
Inaczej myślę, inaczej czuję
Wszystko w wielkim ukojeniu zapomnę,
Kiedy wzrokiem po wodzie wędruję.*

Danuta Pietruszewska.

Migawki z pobytu nad Naroczą

W obozie żeglarskim L. M. K.

Wysłano mnie nad Narocz. Prawdopodobnie w nagrodę za pracę w szkolnym Kole, a także ze względu na moje zainteresowanie sprawami morskimi. Zdziwiłby się ktoś: „Zainteresowanie morzem i kurs żeglarski—jak to połączyć?” — Ja się także trochę dziwiłam, ale po przyjeździe na miejsce — zrozumiałam.

Ośrodek L. M. K. nad Naroczą tętni życiem i czynem. Tu się nie wypoczywa, na to nie ma czasu. Ćwiczenia fizyczne, pływanie, żeglarstwo, kajakarstwo, a potem odczyty, wykłady, pogadanki, żeglarstwo teoretyczne, modelarstwo — to wypełnia dzień cały. A mimo tego nawału zajęć wszystko się robi z ochotą, radośnie i prędko.

Polska młodzież (400 uczestników w ciągu letnich wakacji) wychowuje się tu zdrowo, w duchu wodnym, w wolnym duchu Polaka-marynarza.

Oto wyjątek z zanotowanego przemówienia naszego młodego (student prawa) kierownika, obznajmającego nas z celem obozu:... „Przyjechaliście tu nie leniuchować, ani flirtować towarzysko, bo na to nie ma czasu; przyjechaliście wyrabiać się fizycznie i duchowo. Nabierzcie zapалу do pracy w waszych kołach, pomysłów zajęć dla kolegów, umiejętności żeglowania tak po wodzie, jak i w życiu... Zrozumiecie, że wolny duch Narodu potrzebuje przestrzeni. Pokochacie wodę, nie dacie morza, tego „okna na świat”, nie—wróć, (to wyświechtane)—tej drogi, otwartej dla wolnych duchów. Nie marnujcie więc tu czasu, ani sił. Nie bądźcie maruderami, tylko pionierami młodego pokolenia Polski morskiej!”

Nie mówił kwieciście. Zdania padały bez wzajemnej łączności, proste, szczere, ale myśmy zrozumieli nasze zadania!...

„...Druga żeńska od 10 godz. do 11-ej pływanie. Bacznoooość! Rozejść się”.. Hurra, pływanie! Pędem biegniemy do sypialni, zrzucamy spodenki, plażówki, wciągamy natomiast kostiumy, czepki i gęsiego, z „piosenką na ustach” zdążamy do portu. Tu rozpoczyna się codzienna zwada o kajaki, które wożą nas niczem królowny na basen. Bohaterki przedzierają się „piechotką” (Spadek brzegów Naroczy jest bardzo łagodny, więc basen jest o 100 mt. od plaży),

A tu na basenie woda się gotuje, jak w kotle: to te nieumiejące pływać tak się uczą gorliwie jakby stado rekinów pluskało się na morzu. „Ojej,—krzyczy jakiś głos—nie mogę zrobić „strzałki”, bo mi głowa leci”.

— „A gdzie?” — pyta instruktor z pomostu.

— „Przecież do dna, a nie do góry” — odpowiada urażony głos.

— „No to niech pani za nią leci i wszystko będzie dobrze”.

Jedne pływają na wznak, inne czałem, jeszcze inne „żabką”. Mieszanina stylów, barw, niezgranych jeszcze ruchów, przypadkowych powodzeń i błędów. Godzina zabawy z falami w huśtawkę i ze słońcem w chowanego.

Wychodzimy z kąpieli napęczniałe wodą i zadowoleni — każda lekcja przynosi przecież nową zdobycz w umiejętnościach.

Winkbot (może to inaczej się pisze) płynie pod słońce, kołysząc mile i usypiająco. Leżę na dekle — wyjątkowa łaska sternika — chłonąc ciałem pieszczotę słońca. Nie ma ani wiatorku, ani chmurki, nic. Niebo bez skazy...

Na łodzi powtarzają teorię do egzaminu—

— „Z czego składa się ster?” — pyta Hala.

— „Rumpel, płatwa sterowa, głowica, sworzeń”.

— „Co to jest fregata?” — Wiera pyta Krysię.

— „Duży jacht, posiadający kilka masztów, ożaglowanie rejowe, jednostka morska np. „Dar Pomorza”, — odpowiada leniwie w duszność południa Krysia,

Nagle sternik wydaje komendę:

— „Do zwrotu przez rufę!”

— „Jest do zwrotu przez rufę” — odpowiada chórem załoga.

— „Praw szkot foka luz!”

— „Jest praw szkot foka luz.”

Śmieszyły mnie na początku te komendy i to odpowiadanie dziwne, ale teraz ucho przyzwyczało się do tego. Nie słyszę już dalej, co robią na łodzi bo tu na dziobie tak dobrze jest leżeć i myśleć, że ja tego kursu nie zapomnę, że powrócę tu za rok i potem, że powrócę nie sama, ale z innymi chętnymi do sportu żeglarskiego.

Leżę, stukam piętami o deski i marzę o tym, co można zrobić, co trzeba zrobić, aby co rok setki młodzieży mogło tak leżeć i upajać się słońcem...

Czy pamiętasz przyjacielu z kursu (może ci wpadnie w ręce ten artykuł), jezioro?. Czy — gdy zamkniesz wieczorem oczy, szumi ci ono koło poduszki? Czy błękitni się lub lśni złotem pod twymi powiekami? — Bo ja pamiętam je doskonałe. Gdy pierwszy raz wyjrzało taflą obramowaną drzewami do jadących kolejką uczestników kursu—takie obce,

i gdy ich potem zęgało tak samo — takie bliskie
 Czy można, przyjacielu, żyć się z jeziorem?
 Podziwiać je, pokochać?

— Można, gdy mu się przypatrywać tyle, ile
 ja, oraz gdy się umie—patrzeć!..

Pamiętam je szare, zamglone, spowite ciszą
 i mgłą, leciutki szmer fal o brzeg, zawodzenie pod
 mołem, chichoty blisko łodzi..

Pamiętam je wtedy, gdy fale stroiły grymasy,
 gdy słońce chowało się za chmury i wysyłało tylko
 bokiem snop ciekawych promieni. A Narocz zaczy-
 nała się gniewać: wrzała, kipiała, skłębione fale sza-
 rej cieczy przelewały się z szumem i bulgotem,
 szarpały łodziami w porywie szaleństwa, zachęcane
 przez żałośliwe łkania wiatru. Szara powalała chmur
 rysowała się wówczas groźnie, jak zagniewane
 czoło..

Jezioro wpadało w gniew nagle, jak człowiek.
 Nie lubiłam wtedy Naroczy, ale szłam słuchać jej
 skarg, żalów, wyrzutów i zdawało mi się, że to
 mnie czyni wymówki, że na mnie tak się gniewa.
 Lecz nazajutrz uśmiechała się do mnie jak dawniej
 pogodnie blaskiem słońca, skrami kropel, pianą fal.
 Nic nie zostawało z jej gniewu, a ja jeszcze bar-
 dziej zawojowana urokiem wyjeżdżałam kajakiem po-
 dziwiać piękno jej wybrzeży, podumać w „szczy-
 piorku“.

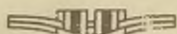
A czy pamiętasz Narocz w nocy? Gdy od

brzegów płynęły jakieś szmery tajemnicze, a czasem
 nasza pieśń wieczorna. Gdy blask księżycy współ-
 zawodniczył z ogniskiem, ścieląc na jeziorze srebrny
 kobierzec..

Chciałam iść wtedy tą srebrną drogą po je-
 ziorze, zobaczyć, co kryje dalej toń, spotkać się
 z Nią - Naroczanką w srebrnej poświacie księżycy.
 Pamiętasz, przyjacielu, że wzięłam wtedy kajak
 i popłynęłam... Chciałam jechać ze mną—nie pozwo-
 liłam. Pragnęłam wybadać sama drogę szczęścia.
 Kajak cicho sunął środkiem srebrzystej drogi, a ja
 zachwycona światłością, jechałam dalej i dalej...
 Lecz nie trwało to długo. Wnet zobaczyłam, że
 płynne złoto się mieni, że i ono ma swoje cienie...
 I dotknęłam ręką: — było lodowato zimne... Zro-
 zumiałam wówczas: świetlista droga szczęścia była
 złudnym miazmatem. Łudziłam się napróżno, że
 ogrzeje ją moja drobina uczucia... Zawróciłam z dro-
 gi. Usiłowałam zjechać w cień z jasnej smugi —
 lecz był dla mnie nieosiągalny... Już zdawało się
 wjeżdżam weń, gdy tymczasem po obejrzeniu się
 wstecz — widziałam się ciągle jeszcze w środku
 strugi złota... Goniło mnie ono, nie puszczało..

I do dziś uciekam w cień z drogi ziemskiego,
 świetlistego szczęścia — zimno mnie już przejmuje
 i rozpacz — a ono wciąż za mną goni obłudne,
 pozorne, okłamujące...

ZOFIA W...SKA.



W. POMIANOWSKA, K.B.W.

Wojna przyszłości

Codziennie gazety całego świata donoszą o wal-
 kach pod Madrytem, o bohaterskim zmaganiu się
 Chińczyków z Japonią, płonie pożoga wojny na
 wschodzie i zachodzie, Niemcy, Anglia, Rosja i in-
 ne mocarstwa wydają miliardy na zbrojenie. Liga
 Narodów stała się zupełnie bezsilna. Zbliżamy się
 do wojny straszniejszej niż w roku 1914, stajemy
 się coraz bliżsi zbrojnego konfliktu.

Nie można dziś podać żadnych horoskopów
 co do wojny w przyszłości, to tylko pewne, że wejdą
 do rozgrywki nowe siły, że wojna nie będzie walką
 wojsk tylko, ale walką całych narodów.

Mimo jednak pozornej mechanizacji, jako
 główny czynnik decydujący o zwycięstwie po-
 zostanie zawsze człowiek. Coprawda już
 w wojnie światowej zawiodły zasady sztuki wojen-
 nej—artystycznego połączenia rozumu i bohaterstwa,
 a i na przestrzeni wieków wodzowie, którzy umieli
 bić silną armię małymi siłami, zdarzali się rzadko;

w całym okresie historii do r. 1914 możemy wy-
 mienić Hannibala, Aleksandra Wielkiego i Napole-
 ona; Jednak jeszcze w roku 1920 mamy dowód mo-
 żliwości pobicia silniejszego wroga za pomocą ma-
 newru w bitwie o Warszawę.

Trzeba przyznać, że w przyszłej wojnie dowo-
 dzenie operacyjne będzie jeszcze znacznie trudniej-
 sze. Głównie wystąpią bronie szybkie, zmotoryzo-
 wane, jak lotnictwo, tanki oraz kawaleria. Spróbu-
 jmy scharakteryzować wszystkie wady i zalety lot-
 nictwa.

Po stronie wartości dodatnich możemy zanoto-
 wać bezwzględna szybkość, zdolność zaskoczenia,
 możliwość stosunkowo łatwego zniszczenia (jeden sa-
 molot zabiera ok. tonny bomb), ale — jest to broni
 niezmiernie kosztowna: szybkie zużywanie się tak,
 że z ogólnej liczby najwyżej 30% może brać udział
 w walce. Skuteczność bombardowania bardzo można
 zmniejszyć przez uregulowanie ruchu (zapobieganie

większym skupieniom ludności) zorganizowanie obrony przeciwlotniczej zarówno czynnej jak i biernej.

Broń pancerna jest wprawdzie szybka, ma wielkie zdolności pościgowe, mało wrażliwa na ostrzeliwanie, ale i ona ma dużo wad. Szybkość czołgów dochodząca do 100 km/godz. przy posuwaniu się na większych odcinkach w terenie redukuje się do 70-150 km. na dobę, na drodze błotnistej czy w śniegu czołgi grzezną, nie mogą przedostać się przez wodę powyżej pewnej głębokości, zabierają z powodu szczupłości miejsca mało materiałów pędnych, których zużycie w posuwaniu się na przełaj wzrasta prawie 3-krotnie. Kolumna czołgów nie może działać długo, gdyż szybko się rozsypuje i musi się formować na nowo. Praca załogi jest niezmiernie utrudniona, wyczerpuje system nerwowy; człowiek w czołgu ma poczucie odosobnienia nie może obserwować dobrze terenu, gazy spalinowe utrudniają oddychanie. Czołg pozornie nieczuły ma swoją wrażliwą duszę w postaci kierującej nią załogi. Umiejętnie jednak użyta broń pancerna odda w wojnie przyszłości napewno duże usługi.

W stosunku do najnowszych metod walki należy przyjąć zasadę: „Nie wolno się niczego bać, ani niczego lekceważyć“.

Wojna przyszłości będzie miała charakter wojny totalnej do jakiej się przygotowują Niemcy i Włosi. Gen. Ludendorf, jeden z twórców planu tej wojny opartej o wszystkie możliwości i siły całego narodu, uważał za konieczne całe życie państwa podporządkować celom wojny, tak aby militaryzacja powszechna była przeszczepieniem warunków wojny na czasy pokoju, nasuwałaby się więc konieczność zupeł-

neho ograniczenia wolności osobistej. Sokrates sformułował zasadę: „Wojna jest środkiem do zapewnienia wolności i szczęścia“, Ludendorf i inni teoretycy wojskowości twierdzą: „Wojna jest celem, w dążeniu do którego należy poświęcić wolność i szczęście“.

W dążeniu do zwycięstwa stanie zawsze szereg trudności, ważną jest rzeczą jak się do nich ustosunkujemy, jedne uda się obejść, drugie przeskoczyć, w innych wybić tunel, jeszcze inne okażą się, że ich w rzeczywistości nie ma, a wreszcie będą i takie przeszkody, które uda się użyć jako ułatwienie do pokonania następnych.

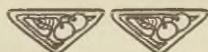
I ostatecznie wraca się do tego samego problemu — na imię mu „Człowiek“.

Na całej długiej przestrzeni wieków zmienia się technika, sposób walki, ale natura ludzka pozostaje bez zmiany.

Nie zapominajmy, że wszystkie wynalazki techniczne są wymyślane przez człowieka, i najbardziej uzależnione od obsługi. Czołg tak groźny w chwili natarcia, pozbawiony załogi staje się bezużyteczną kupą żelastwa, najlepsza maszyna wojenna nic nie jest warta, jeżeli ją człowiek zepsuje.

Głównymi czynnikami decydującymi pozostaną zawsze rozum i wola zwycięstwa. Gdy armia stanie na wysokości zadania i nie zawiedzie przygotowanie techniczne, pozostaje jeszcze trzeci ważny czynnik, który decyduje o powodzeniu wojny.

My dziś jesteśmy rozbrojeni moralnie, wobec wyraźnej polityki Niemiec i Rosji nie wolno nam pod tym względem pozostać w tyle. Potencjał militarny Polski musi się podnieść na całej linii.



„Samopomoc koleżeńska”

czyli

„Blaski i cienie łaciny”

Dlaczego ja? Dlaczego właśnie ja mam pisać poważny artykuł o samopomocy?

Nie dość, że mi dali trzy „pociechy” do nauki — pożałuj Boże — łaciny, to jeszcze ten artykuł! No wreszcie niech już będzie, piszę...

Ale nawiedziły mnie hamletowskie refleksje: bo czyż mogę poważnie? Trzy śmieszki jako uczenice, czwarta jako nauczycielka i stwórz tu człeczko z tego wszystkiego... powagę! Przecież nawet woźny przyszedł pewnego razu, zwabiony krzykiem na którejś początkowej lekcji, pytając, coż my tu ro-

bimy? „Łacinę” — odpowiadam z dumą, a on: „Chyba anegdotki po łacinie, bo tu tyle śmiechu”. Zabolęła mnie wtedy дума nauczycielska... No, ale od początku.

Otóż jakoś tak w połowie listopada (to był pechowy dzień, więc data wypadła mi z głowy), zatrzymała mnie na pauzie moja wychowawczyni i głosem zimnym jak lód (tak by określił go Makuszyński) powiedziała: „Dosyć już leniuchowania, dostaniesz 3 dziewczynki do nauki. Możesz podzielić się z nimi z Krysią”. Podzieliłyśmy się, przy

czym ja dostałam dwie, a nie — jakby sprawiedliwość kazała — półtorej... Wybrałam sobie dziewczynki z humorem, ale teraz już wiem, co takie znaczą. W przyszłości wybierać będę... niemowy.

Moje uczennice nazywają się Usia i Ania (nie podaję prawdziwego imienia, aby się biedaczki nie najadły wstydu, co mnie jednak nie ominie).

Zaczęłyśmy pierwszą lekcję. Uczennicom grożą dwójki, ale nauczycielka? — sama ledwie coś umie na wstydliwą trójęczkę. Ale za to dodaje mi powagi moja klasa, liceum, która wobec ich II gimnazjum brzmi jak tytuł doktora. Dodaje mi także animuszu mój zapal do uczenia. Ech, dam sobie jakoś z nimi radę!...

Pierwsza lekcja idzie jak z płatka. Odmień palla, rex, res, amo... „Imperfectum, praesens, passivum...“ Jak jest „miasto“, „droga“, „męstwo“?

Jak — virtus, virti? — Ależ nie, to III deklinacja: virtus, virtutis. Odmień całe.. Pluralis...

Mijały pierwsze lekcje. Chodziłam dumna, że przecież wiem wszystko, o co mnie pytają, że nie „wcinają się“ już na lekcji łaciny, że jakoś idzie.

Zawczasem, kwiatku, zawczasem!...

Dziewczynki oswoiły się ze mną. Witwały się na pauzach, mówiły mi po imieniu, a lekcja nabierała charakteru... ochronki. Śmiech, krzyki i deklinacje łacińskie odmieniane jak można najgłośniej w triumfie pojętej „mądrości“. Uciszam, nic — jak groch o ścianę, więc i ja drę się w niebogłosość, aby przekrzyczyć swoje uczennice i być przez nie zrozumiana. Miło tu było, że ha: one głośno, a ja jeszcze głośniej! Pocieszałam się tylko w swojej czarnej rozpacz, że przecież na naszych „prawdziwych“ lekcjach też tak bywa..., że biedny jest los nauczycielki. Moje wyrzuty czynione Usi i Ani, nie trafiały im do serca; były tak obojętne, jak my dla naszych władz profesorskich. Tak minął blisko miesiąc.

Ale pewnego dnia przyszła mi do głowy składnia („o nieszczęsna godzino!“). Pytam: „Jak będzie po łacinie „ja mam płaszcz“? „Habeo pallam“ — odpowiada po chwili namysłu Ania. Usia kiwa głową, że dobrze. A ja: „Ale bardziej po łacinie, tak zupełnie po łacinie (musiałam mieć nieco temperatury)! Ania myśli, myśli i w końcu mówi: „Nie wiem“. A ja wolniutko, po profesorsku: „Palla mihi est“. Płaszcz mnie jest! — Moje uczennice w śmiech. „Tak nawet dziecko nie powie“ — zaśmiewa się Usia. — „Ale Rzymianie tak mówili“ — odpowiadam z powagą. Tu wybucha śmiechem i Ania.

Patrzyły na mnie dziwnie, jakby z politowaniem, a ja uznałam, że moja składnia dla nich za mądra i rozpoczęłam odwrót „z pod Troi“... Od tej chwili zaczęła się słabiotka niewiara. Na następnej lekcji Ania oznajmiła mi, że umie już perfectum. I tu znowu wpadłam. Nie dlatego, żebym nie umiała zwykłego perfectum; na to zbyt się szanuję, ale gdy na moje pytanie na wrywki otrzymałam odpowiedź, że 3 osoba pluralis od „mitto“ brzmi „miseruerunt“ — uszy mi spuchły. „Nie — krzyknęłam wielkim głosem — jest inaczej!“ Ale jak — pytam się pamięci. Napróżno, nie mogę sobie przypomnieć „A jak“ — pyta niewinnie Usia. „Zobaczmy lepiej w gramatyce, bo jeszcze się pomylę“ — odpowiedziałam dyplomatycznie, zgaszona. W głowie tłukło mi się naprawdę biedne „miserunt“, ale wobec jej końcówki imponującej „eruerunt“, cóż znaczyło?

Tymczasem gramatyka haniebnie zawiodła: misi, misisti, i td... tak dalej!?, ale co po tym? Tymczasem Usia twierdzi — miseruerunt! I basta. Pani nam tak mówiła, — (jeśli Pani od łaciny załamie tutaj ręce — nie moja to wina)!

Stało na tym, że ja zajrzę w domu do słownika (miałam się spytać naszej prymuski), a tymczasem niech przyjmą moje „miserunt“. Przyjęły je z wielką rezerwą.

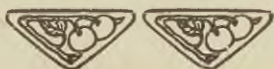
Forma ta jednak okazała się prawidłowa.

Tymczasem nadchodził koniec okresu. Moje bohaterskie. „nauczycielskie“ serce drżało o moje bądź co bądź pupilki. Lecz, kiedy po odczytaniu im stopni, uwiadomiły mnie wśród nadmiaru czułości, że nie mają już „dwójek“ z łaciny, napełniłam się rozrzewnieniem, które jest — zdaje — rozcieńczoną postacią dumy (nikt jednak nie dowiódł jeszcze tego fizycznie).

Po feriach świątecznych zabrałam się do uczenia Usi i Ani ze zdwojonym zapalem. One muszą mieć czwórki, to o czym ja sama napróżno marzę! Trzeba tylko wymyślić jakiś sposób na lepsze utrwalanie im w pamięci słówek. Zresztą „Quidquid agis, prudenter agas, et respice finem“!

Oto artykuł gotów. Jeśli jednak po przeczytaniu niniejszego Pani przepyta „dokumentnie“ z łaciny mnie i moje „ofiary“ z wynikiem — duo, to porzucę zawód „dziennikarski“.

OSIA W.



„Piętro wyżej czyli nowy lokal naszej szkoły”.

Stuk, huk, trzask, odłamki cegieł...

Klasy pozaciemniane przez wysokie rusztowania, wznoszące się przy ścianach; podłoga ciągle świeżo myta, gdyż sufity teraz zawodzą i w czasie deszczu okazują się przemakalne. A uczennice się cieszą.

A dlaczego miałyby się nie cieszyć!

Siedzą na lekcjach, na tych ciężkich, jak fura cegieł, (przejeżdżająca właśnie przez podwórko) lekcjach i patrzą — bo za oknem kruszą ściany, bo za oknem lecą gruzy! Uczennice obserwują to wszystko, myślą o robocie murarzy o korzystaniu z tego nowego lokalu i... ciężka lekcja jakoś upływa — zapomina o swym pompatycznym kroku żółwia i teraz zmierza do dzwonka susami zająca, wtórując szybkim myśłem zajętej „niebieskimi migdałami”.

A na pauzie opowiadanie wrażeń odniesionych z wnikliwej obserwacji okna, tudzież z „zamienienia się w słuch” w odpowiednich momentach w celu lepszej analizy.

— Nie wytrzymam, za chwilę chyba sufit się zawali — głowa mi pęka.

— Ja jutro nie przychodzę do szkoły, dosyć tych młotów, wał, wał jak szaleni.

— Co ty tam mówisz?! Nieprzyjemnie ci jest w tej klasie, o tchórz! Bo przecież gdy ci cegła spadnie na głowę w czasie wykładu, zginiesz na posterunku. Jak prawdziwa uczennica — nad książką. Och ty leniu z trzema dwójkami — raz miałabyś szczęście. Będą mówić nad książką zgi... Ha... ha... ha... huragan śmiechu — słowa już się nie wiążą — rozmowa się urywa. I wszystkie przyjemne uczennice, które przed chwilą prowadziły tak ożywioną rozmowę, zajądają teraz z wielkim apetytem — drugie śniadanie, aby po nim wykonać kilka akrobatycznych skoków dla zachowania linii i powrócić na następną lekcję z miłą perspektywą bohaterskiego zgonu na posterunku.

I tak lekcje... pauzy... śniadania...

I dzień za dniem idzie. Zbliżają się święta z nimi nastrój choinkowo — feriowy, projekty wyjazdów i wszystko możliwe. O budowie zapomina się.

A tam wre praca. Robotnicy pracują, ściany rosną, Pani Dyrektorka coraz częściej odwiedza to Nieznane.

Już po feriach! Łazimy po wszystkich kątach, badając czy się co zmieniło?

Nie ma schodów. Nauczyciel zdiera swe obuwie na schodach kuchennych. Musi chodzić przez to brudne, tak mało estetyczne wejście, narażony na uprzejmne popychanie uczennic.

Ściany w niektórych pokojach poprzebijane, niektóre klasy w ogóle pozamykane. Wszędzie ja-

kieś drobne lub wcale pokaźne inowacje (głęboka studnia zamiast schodów frontowych).

A przede wszystkim brudno jak nieszczęście, podłoga w sali gimnastycznej cała w plamach, sufit także „pendant” do niej.

I w czym tkwi tego przyczyna: Gdzie się ukrywa winowajca. Naturalnie — źródła tych nieporządków należy szukać w budowie.

„Piętro wyżej” daje nam znać o sobie.

Minęło już blisko dwa tygodnie. Ja z siostrą (mam siostrę w szkole: chodzi ze mną do jednej klasy i dzieli wspólną ławę, jesteśmy podobne do siebie, obydwie mamy długie włosy oprócz mnie, która ma krótkie, ale dosyć o nas). Chodzimy przykładnie do szkoły. Z dnia na dzień jesteśmy bardziej niespokojne. Ta budowa drażni nas. My, które mamy szczęście być wszędzie, nie pójdziemy na „piętro wyżej”? Ja miałam nawet nadzieję (och ta nadzieja!), że po świętach będziemy już na nowym mieszkaniu. A tu? — na zachodzie — wróć — wróć! na górze bez zmian. Budują śmieć i nie kończą!

Budowa nowej szkoły obchodzi bez wyjątku wszystkie uczennice, a to z dwóch względów. Przede wszystkim — ze względów czysto ekonomicznych (czy szkole nie grozi licytacja) i ze względów czysto osobistych t. zn. jak staną akcje każdej z nas tam na górze? Czy tylko będzie nam w tym nowym przybytku dopisywać szczęście? Jak ułoży się nasza koniunktura w notesie każdego profesora (wybaczcie mi tę koniunkturę i te akcje, ale zaczynam nabierać stylu z lekcji zagadnień życia społecznego).

Otóż dwie z naszych koleżanek wyprawiły się w to Nieznane.

Biedaczki dużo przeżyły nim tam poszły, gdyż przedewszystkim narażały swe młode życia, na które nie zdążyły się jeszcze ubezpieczyć. Ale czego nie robi się pro publico bono. Wreszcie ta ekspedycja, wydelegowana „z ramienia” Redakcji wyruszyła pewnego szczęśliwego dnia.

Otóż uwaga! na samym wstępie spotykamy wielką taczkę, która zagraadza nam drogę. Oho, nie tylko zły znak. Potem wdrapujemy się po krętych schodach, mijamy długiego korytarz, jakąś górę i dostajemy się na budowę.

A tam?

Och nie mogę być dłużej dyskretną. Słuchajcie! Zdradzę wielką tajemnicę (wiadomą tylko do-

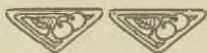
ład „spółce“). Mamy najzupełniej nowoczesną, nową szkołę. Sześć dużych, jasnych klas, o 2 oknach każda, pokój jadalny, łazienkę (zwaną autentyczną), umywalnie i nawet spiżarnię, a oprócz tego mnóstwo zakamarków, kącików, zawsze upragnionych przez dziewczynki do „chowanego“. Jednym słowem tam na górze jest komfort. Robotnicy pracują w zdwojonym tempie, kierownik roboty wnika w najmniejsze szczegóły, widać, że chce, żeby ten nowy lokal

przypadł nam do gustu. Należy jeszcze dodać, iż wszyscy zatrudnieni nie chcą nadużywać naszej cierpliwości i starają się jaknajszybciej ukończyć budowę i oddać nam do użytku tę nową szkołę już 1 marca.

Czy nie powinneśmy się cieszyć?

Na cześć nowopowstającej szkoły wnoszę okrzyk — Wiwat — Piętro Wyżej!!!

Krystyna Buchcar.



KRZYŚ

Kartki z pamiętnika

II „Jak zdobyłam torebkę“.

Znowuż jest szkoła! Sześć w poniedziałek, siedem we wtorek, ach lepiej już nie myśleć. Miałam raz w pierwszym czy drugim oddziale taki dzienniczek do zapisywania lekcji. Na jednej stronie siedział sobie poniedziałek, dalej wtorek, a przy końcu środa, na drugiej stronie było tak samo, tylko że na miejscu poniedziałka był czwartek, a na samym końcu sobota. Ile razy pomyślę o tygodniu, który się zawsze wlecze w nieskończoność, to staje mi przed oczyma ten stary dzienniczek z lat gdy się nie było jeszcze częścią człowieka.

Kiedy rano budzą mnie zaspaną po czubki włosów, najpierw zastanawiam się głęboko, dla jakiej przyczyny warto wogóle wstać. Jeżeli jest sobota, to rzucam radośnie kołdrę, żeby jak najprędzej „odwalić lekcje“ i mieć pół dnia zupełnie owianego czarem bliskiej niedzieli. Ale jeżeli... jeżeli poniedziałek... A to był właśnie poniedziałek, ten najfatalniejszy dzień tygodnia. Nie, nie umówiłam się przy „Gastronomii“, ani innym Chińczyku, nie ma już tych wspaniałych wczorajszych ciastek. Wszystko zjedli, beczelność! Więc co okryć się kołdrą i spać do soboty? Ale nie, jest przecież coś, czyżbym zapomniała. W szkole wisi na tym samym miejscu zielony wczorajszy plakat. Jeżeli żadna nie pójdzie ze mną, to idę sama. Wcale nie oszalałam tylko czy jest emancypacja czy nie? Dlaczego tylko chłopcy mogą?

Czasami porywa mnie na nich wściekłość do ostatnich granic. Potrafią tak na zimno wydrwiwać, a człowieka mało krew rozszalała nie zaleje, ale o tym po tym. Więc idę. Grunt, że będę miała torebkę, taką lakierowaną, oryginalną, no i co tam dużo gadać, musi być piękna.

Poszłam... i odrazu wiedziałam w której bramie, ba cała ulica trzęsła się od nieludzkich wrzasków. Jeszcze raz tak, dla dodania sobie odwagi, przeczytałam zielony afisz na bramie „Wymiana podręczników pomiędzy młodzieżą odbędzie się tu

i tu, o godzinie tej, a tej.“ Poklepałam ręką moją brzuchatą tekę, wypchaną piętnastoma podręcznikami i weszłam. Nie zdążyłam ująć dwu kroków, gdy mnie otoczyło ze sześciu i jeden przez drugiego, jak nie zaczęły wykrzykiwać, że on chce taką historię, a tamten inną matematykę, a ile pani chce za „Puer Romanus“, bo jak 70 groszy, to wezmę. Stałam między nimi niby osaczona i głupiałam, czułam, że głupieję, ale cóż mogłam poradzić, bo mój głos wogóle gdzieś się zapodział w powietrzu. Ale kiedy jeden ze śmielszych, taki co to idzie przez życie przebojem, sięgnął do teczki, żeby zobaczyć, czy nie ma „historii na III-cią“, to już zupełnie otrzeźwiałam. „Bez rąk... zaraz poszukam... o co pan pytał?“ Historia się znalazła. „To ta?“ „Ile pani chce?“ Popatrzyłam dłuższą chwilę na szarą okładkę. „Złoty, dwadzieścia groszy“. Bez słowa odwrócił się i poszedł. Ale to był chyba jakiś trik, bo kiedy przehandlowałam Algebrę, podszedł znowu ten sam. „A teraz ile?“ Ale ja zmądrzałam także. „Mówiłam! „Co tak ostro... niech pani trochę ustąpi... pogodzimy się“. Przecież to kupiec zawodowy, jak on mówi, pomyśleć tylko!

Oddałam tą historię za złotówkę, ale odszedł jeszcze niezadowolony. „Ja bym to za 70 groszy kupił, tylko tak od pani“ mruczał.

Ciężar teczki trochę się zmniejszył, poszłam w głąb podwórza, żeby dokończyć transakcji.

Ale co tam się działo... co tam się działo! Świętokrzyska to nic, to uliczka w bezludnym parku. Kilkadziesiąt uczniów i kilkanaście uczennic kręciło się, biegało, skakało i ryczało, aż się domy trzęsły. „Do pierwszego, do pierwszego“ — wrzeszczał taki zadatek na późniejszego sprzedawcę ulicznych krawatów. Na IV-ty rachunki, polski wył tubalnie, taki co przebojem idzie z pięściami. Z małymi, co to ledwo od ziemi odrosło, poprzychodziły mamy i ich to głosy wzbijały się nad tłum. „Wszystkie do II-ego, wszystkie do II-ego“. Do mnie jakoś nikt nie przychodził więc zaczęłam z początku nie-

śmiało, a potem coraz to głośniejsz „Religia na IV-tą łaciną na III-cią“. „Może pan kupi Religie?“. „Z największą przyjemnością, ale ja bezwyznaniowicz“. Czuje, że ktoś się na niego patrzy. No nie patrzy, ale „okularzy“; i ten się tu znalazł! „A dzień dobry panu, nie, sprzedaję książki, tak, żeby sobie kupić torebkę“. Oho, myślę sobie, jak ten się do-

wiedział to pół Warszawy o mojej torebce usłyszy.

No i wcale się nie omyliłam. Ani co do „okularnika“, ani co do torebki, Zebrało się w każdym razie około 10-ku, a mamusia jeszcze dołożyła i torebka jest. Grunt — to, że zdobyta ciężką pracą. Różnie się zdobywa torebki,
c. d. n.

GŁOS MAJA MŁODSZE KOLEŻANKI

Dar Pomorza

*Hej! po morzu, po szerokim, okręt wielki płynie,
Płynie, okręt płynie, po polskiej głębinie.
Jedzie, jedzie w świat daleki
Hen za góry,
Hen za rzeki
Płynie Dar Pomorza.
A ten okręt piękny, duży
Nowozbudowany
Pierwszy raz odbywa podróż
Przez głębokie oceany.*

*Na okręcie majtków wiele
Pracują wytrwale,
Bo zwalczają wichry srogie
I olbrzymie fale.
Chociaż morze swe miłują,
Życie mu oddają,
Jednak często myślą swoją
Na ląd powracając.*

HANKA KRESINSKA IIa

Redaktorskie kłopoty.

Na moim biurku leży „Trzynastka“. Mogłabym o nią walczyć z najwspanialszym atletem, chociaż w domu powtarzają mi ciągle, że marnie skończę, bo jestem bardziej szkieletem niż dziewczyną. Znam na pamięć każdy numer (było ich dopiero dwa), a jeśli ktoś wypowie się o niej lekceważąco zalewam się gorzkimi łzami. „Ty się nie nadajesz do dziennikarstwa — tłumaczą mi — kto widział, żeby się przejmować taką drobnostką.“ A jednak — przysięgam zaciskając zęby — zrobię z „Trzynastki“ najpoczytniejsze pismo nie tylko w Warszawie ale w całej Polsce.

Trudna to rzecz być redaktorką i jeszcze taką zapaloną, głupią i zakochaną w piśmie. Co ci z tego dziewczyno, że posiedzisz 5 godzin nad jedną, 5 nad drugą korektą, co ci z tego, że napiszesz artykuł sercem, a nie piórem, kiedy przyjdzie ktoś taki i powie najrealniej „co? za to 30 groszy“, albo ruszy wzgardliwie ramionami „na taki marny artykuł“.

Artykuły... artykuły... Różnie bywa, albo nie ma nic i nic, albo jakiś temat olśni wszystkie i na

przykład... do redakcji przyplęnęło około dziesięciu artykułów na temat 11 listopada. Trzeba było ślęczyć i połykać wciąż tesame wyrazy waleczność... szare mundury... miarowe kroki żołnierzy, Po dziesiątym dostałam lekkiego zawrotu głowy i 37 z kreskami.

Na drugi dzień przychodziły do mnie autorki: „No jak tam mój artykuł, prawda, że zły?“. Tak, wiesz możesz napisać lepszy. „Co, nie umieściłaś — podnosiła głos literatka — też pismo, ciekawam w jakim piśmie są takie trudności z umieszczaniem, więcej nie napiszę.“ „Ale zrozum — tłumaczyłam podniecona. Zresztą, wszystkie perswazyje były daremne

O biedny losie niedoświadczonej redaktorki, kiedy przysyłają ci z drukarni rachunek dwa razy większy niż się spodziewałaś. Pierwszy mój rachunek, który opłakałam, żeby nikt nie widział.

Radzę wam, jeżeli, która zechce poprowadzić pismo, niech uważa i trzyma serce na uwięzi. Nie wolno się przejmować. Szkoda, że umiem radzić innym a nie sobie.

d—ka.

Opiekunka pisma: dr. Lidia Winniczukówna.

Wydawca: Samorząd Państwowego Gimnazjum Żeńskiego im. Emilii Plater w Warszawie.

Komitet redakcyjny:

przewodnicząca — Danuta Pietruszewska, członkowie: Krystyna Buchcarówna, Zofia Wołczyńska.

Administracja: Wanda Tolińska, Irena Siwicka.

Adres redakcji i administracji: Warszawa — Mazowiecka 12, tel. 5.02-58.